

MARCIN KULA

Warszawa

KAŻDY MA PRAWO WYBRAĆ DOWOLNEGO MERCEDESA, BYLE BYŁ CZARNY? AŻ TAK TO NIE, JA TYLKO NAMAWIAM!

Recenzowanie tej książki wiąże się dla mnie z ryzykiem¹. Powody są dwa. Pierwszy taki, że wielokrotnie zabierałem głos w dyskusjach analizowanych przez Bartosza Korzeniewskiego. Wystąpiłem zatem w roli obserwowanego przezeń zwierzątka, którego prawdziwe motywy i logikę działania odkrywa dopiero badacz. Drugim powodem trudności jest odmienność specjalizacji badawczej. Bartosz Korzeniewski jest kulturoznawcą i jako taki napisał swą książkę, podczas gdy ja jestem historykiem. Oczywiście, popieram integrację nauk itd. Gdy jednak sta-

ję wobec zadania zrecenzowania pracy napisanej przez specjalistę z innej dziedziny, w przyjętym w tej dziedzinie stylu, tracę pewność siebie. Mieszają się we mnie zazdrość, że sam nie umiem w takim stylu analizować rzeczywistości, ze złością badacza, który nie pojmuje specyficznej ograniczoności autora (definiowanej jako ograniczoność w kategoriach mojej dyscypliny). Powstaje zatem sytuacja bardzo groźna dla recenzenta — połączenia kompleksu niższości i wyższości. Takie połączenie może, jak wiadomo, skończyć się fatalnie.

Adres do korespondencji: j.m.kula@uw.edu.pl

¹Bartosz Korzeniewski, *Transformacja pamięci. Przewartościowania w pamięci przeszłości a wybrane aspekty dyskursu publicznego o przeszłości w Polsce po 1989 roku*, PTPN, Poznań 2010, stron 245.

Z góry więc mówię, że jestem pełen podziwu dla wiedzy Bartosza Korzeniewskiego, jego znajomości światowego piśmiennictwa o roli pamięci, umiejętności rozpatrywania polskich zagadnień na tle ustaleń tego piśmiennictwa oraz finezji analiz polskich polemik. Jako historyk, mający z natury tendencję do jednostkowego i zindywidualizowanego traktowania fak-

tow społecznych, doceniam tendencję do analityczno-uogólniającego ujmowania rzeczywistości społecznej — nawet jeśli doraźnie mnie ona denerwuje i boję się nadmiernego upraszczania oraz generalizacji. Skądinąd jej właśnie zazdrościć kulturoznawcom, socjologom, politologom, antropologom. Ja staram się propagować wśród młodszych historyków, ponieważ wśród starszych, ze mną włącznie (*vide*: kompleks niższości), trudno już liczyć na pozytywne skutki. Wiem, że autor ma duży dorobek w zakresie badania zjawisk pamięci.

Wypowiedziawszy wszystkie powyższe komplementy, dalsze uwagi poczynię z pozycji przemądrzałego historyka (*vide*: kompleks wyższości). Pierwszy zarzut to oskarżenie o nadmierne wyabstrahowanie historii oraz autonomiczne traktowanie treści historycznych, które funkcjonują wśród ludzi. Historycy trzymają się znacznie bliżej rzeczywistości (w tym rzeczywistości dziejów współczesnych) niż kulturoznawcy w ich półabstrakcyjnych, uogólniających rozważaniach. W recenzowanej pracy same idee konkurują, działają. Tymczasem treści historyczne to nie jest wystawa produktów kosmetycznych, które ludzie sobie wybierają. Ich funkcjonowanie jest rezultatem pewnych procesów, dokonujących się w znacznie szerszych zakresach. W końcu częsta w wypadku Polaków hagiografia w stosunku do własnej historii to nie tylko rezultat tego, że ktoś ją krytykował lub mało cenił (jak PZPR w pewnych okresach w niejednej sprawie), ale także reakcja narodu o bogatych na skutek historii kompleksach. Proponowałbym autorowi porównawcze przyjrzenie się na przykład odnoszeniu się Irlandczyków do historii Irlandii lub Izraelczyków do historii Żydów i Izraela. Rozważania kwestii funkcjonowania historii, moim zdaniem, powinny implikować też refleksję nad wojennym rozbięciem prawie wszystkiego w Polsce, nad wojennym załamaniem się wielu hierarchii wartości, kompromitacją lub/i eliminacją autorytetów, także migracjami, które ułatwiały czynienie z masy ludzkiej gliny w miarę łatwej do lepienia pożądanymi kształtami. Zapomnienie i zarazem specyficzna pamięć o obecności Żydów w Polsce, a potem odradzanie się pamięci o tej grupie ma bardzo szerokie uwarunkowania.

Widzenie historii często jest rezultatem pewnej walki. Walki na różnych poziomach. W odniesieniu do epoki PRL autor mówi o (z grubsza biorąc) historii oficjalnej i prywatnej. Nie zauważa, że w sferze oficjalnej też toczyły się boje (czasem otwarte, a czasem podskórne) o historię. Proszę wspomnieć pierwsze usunięcie Władysława Gomułki, między innymi za opowiedzenie się za tradycją narodową; proszę wspomnieć rok 1968, który można postrzegać jako pewien spór o przeszłość w obrębie elity PZPR. Co nie najmniej ważne, proszę wspomnieć o sporach w ruchu komunistycznym o jego własną historię. Autor nie zastanawia się nad endogenną ewolucją treści historycznych nadawanych w komunizmie — treści ewoluujących wcale nie tylko w ramach poszukiwania lepszej legitymacji do rządzenia. Prawda, że planowanie polityczne było jedynym planowaniem, które komuniści naprawdę umieli stosować, ale zmiany w rzeczowej płaszczyźnie wynikały nie tylko z procesów uświadomionych i pożądaných. Zmieniała się elita komunistyczna. Wraz ze zmianami elicie radzieckiej zaczęła się podobać wizja silnej Rosji carów, a polskiej — wizja moczarowska. To nie były jedynie koncesje. Gen. Jaruzelski był chyba szczerzy, gdy wprowadzając stan wojenny przedstawiał się bardziej jako „typowy” Polak i zbawca Polski niż jako komunista.

Rozważana sprawa jest bardzo ważna dla historii ruchu komunistycznego. Skoro, wbrew przewidywaniom Marksa, nie wybuchła komunistyczna rewolucja światowa, wszędzie komunizm rozgrywał się w ramach narodów (nawet znaczna część wywózek na Syberię dokonywała się według kryterium narodowego). Wszędzie też historia była ważna jako instrument legitymizacyjny. W większej liczbie przypadków, niż się myśli, komuniści byli jednak „po prostu” narodowcami, dziedziczyli tradycję narodową, chcieli komunistycznych reform dla wyniesienia swoich krajów i narodów, a ostatecznie ZSRR poparł się po szwach narodowych — „prucia” zaś w wielu wypadkach dokonały komunistyczne elity narodowe.

Autor nie zastanawia się, dlaczego w ogólnej historii była tak ważna dla ruchu komunistycznego — w skali całego ruchu i specyficz-

nie w Polsce. Nie zastanawia się, dlaczego głowy leciały za treści historyczne (jak zresztą, co też zdumiewające, na przykład za biologiczne). Z drugiej strony nie bierze pod uwagę, że działania oficjalne w sprawach historii padały na grunt niekoniernie jednolity. W końcu przed wojną wizja dziejów, dominująca na przykład w ruchu ludowym, niekoniernie była tożsama z prawie oficjalną wizją heroiczno-martyrologiczną. Pozwalam sobie przypomnieć, że przed wojną, mimo oficjalnych ustaleń, nigdy nie zostało ostatecznie przesądzone, czy święto narodowe obchodzi się 3 maja, czy 11 listopada — a jest to różnica niebagatelna.

W odniesieniu do dnia dzisiejszego autor pisze o „odbrązawianiu” historii. Takie zjawisko rzeczywiście występuje. Gdyby nie ono, wydanie książek Jana Tomasa Grossa po polsku byłoby mało prawdopodobne, podobnie zresztą jak pewnej liczby innych prac. Niemniej jednak choć istnieje coś takiego jak dominujący nurt myślenia o historii, to szczęśliwie nurt „oficjalny” jest już znacznie słabiej zarysowany niż dawniej — i to mimo niedobrego w treści zapisu ustawowego o naganności pomawiania narodu o różne brzydkie rzeczy. Prawda jest więc taka, że jedni odbrązawiają, a drudzy, wprost przeciwnie, tym mocniej „brązowią”. Rozumiem, że trudno jest pozbierać, klasyfikować i kwantyfikować relacje, ale gdyby autor mnie zapytał o wrażenia w kwestii „odbrązawiania”, przekazałbym mu własne wspomnienia. Byłem jedną z osób promujących książkę Grossa przed pięćsetosobową publicznością. Tendencja przeciwna odbrązawianiu z pewnością nie była tam dominująca, ale była wystarczająco silna, bym wolał wyjść z zakończonej imprezy bocznym wyjściem.

Autor pisze o funkcjonujących treściach historycznych oraz tendencjach ich ewolucji, a znacznie mniej zwraca uwagę na ich nadajniki i przekazy. Mówi, że po roku 1989 kluczową rolę w kształtowaniu pamięci zbiorowej zaczęła odgrywać klasa polityczna, w miejsce elit intelektualnych (s. 130). Zastanawia mnie, jak udało mu się tak precyzyjnie przeprowadzić granicę między jednym a drugim środowiskiem. Także to, czy przed rokiem 1989 Wydziały Nauki, Kultury i Propagandy KC PZPR naprawdę moż-

na zaliczyć do elitarnych środowisk intelektualnych? Z kolei nawet bardzo szanując księży, którzy umieszczali w swoich kościołach tablice ku pamięci ludzi i wydarzeń, miałbym wątpliwości co do zaliczenia ich w każdym wypadku do „elit intelektualnych”. Należałoby zresztą zdefiniować elity — może po prostu o czym innym mówimy.

Autor nie zastanawia się nad elitą IPN-u jako pewnym środowiskiem kształtującym przekaz — samodzielnie oraz w imieniu... (no właśnie, czyim?). Co ważniejsze, nie pochyła się nad Kościołem katolickim jako nadawcą pewnych treści historycznych, ich lustrem, niekiedy ich przekazywaniem — też *nota bene* zróżnicowanym w różnych swoich fragmentach. Sugeruję, by autor poszedł do muzeum ks. Popieluszki w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie lub pojeździł trochę po niektórych sanktuariach. Gdyby to uczynił, zobaczyłby jedno ze źródeł funkcjonujących w Polsce treści historycznych.

Jako wyraz obiegowych poglądów o dziejach autor analizuje wyniki badań prowadzonych przez socjologów oraz wypowiedzi, zwłaszcza publicystyczne. Obserwuje bardziej wskaźniki i teksty niż życie. Korzysta z badań Andrzeja Szpocińskiego nad przekazywaniem treści historycznych przez telewizję (bardzo dobrze, że zostały one zrobione i dobrze, że autor z nich korzysta). Nie zastanawia się natomiast, kto w jakim okresie panował nad telewizją i czyim nadajnikiem ona była. Nie zastanawia się, czy każde zachowanie i wypowiedź, odnoszące się do historii, naprawdę ma przeszłość na uwadze (lub czy ma ją wyłącznie). W końcu niewątpliwym sukcesem Muzeum Powstania Warszawskiego nie tłumaczy się jedynie przedmiotem ekspozycji, ale także jej zabawową (co paradoksalne!) formą. Można się tam zabawić i rozetrwać z patriotyczną motywacją (jak na wielu dzisiejszych imprezach poświęconych historii). Czy może być coś bardziej pozytywnego?

Oprócz wyników sondażu autor w pewnym stopniu, aczkolwiek mniejszym, zauważa zmiany ulicznej symboliki po zmianie ustroju. Tymczasem funkcjonujące treści historyczne wyrażają się w znacznie bardziej zróżnicowanych formach: w programach szkolnych, w motywach

historycznych wykorzystywanych w reklamie, w przebiegu różnych wydarzeń, w wystroju kościołów, w architekturze, w odbudowie Warszawy w ogóle i w jej odbudowie według przyjętych zasad w szczególności, w koncepcji MDM-u, w takiej a nie innej budowie warszawskiego Muranowa, w PKiN-ie, w Nowej Hucie i w budowie Huty im. Bieruta akurat w Częstochowie. W końcu to, że na warszawskim pomniku „Poległym i pomordowanym na Wschodzie” znalazły się symbole ludzi religii innych niż katolicka, jest fundamentalną wypowiedzią o historii oraz wyrazem zmiany jej postrzegania — podobnie jak budowa Muzeum Historii Żydów, którego autor w ogóle nie wspomina (chyba że przeoczyłem). Autor nie dostrzega faktu wyrażania się treści historycznych w rozlicznych wydarzeniach. Jeśli nie przeoczyłem, w ogóle nie dostrzega takich treści na przykład w konflikcie roku 1966, w zajęciach 1968, czy w demonstacjach towarzyszących śmierci ks. Popieluszki. Nie zauważyłem w książce wspomnienia wizyty prezydenta Kaczyńskiego w Jerozolimie. Poważne odniesienia do historii miało też na przykład wszystko, co nastąpiło po katastrofie smoleńskiej — choć tej tragedii autor, oczywiście, nie mógł już uwzględnić w książce.

Prawda, autor analizuje wielkie dysputy historyczne, czyli zjawiska wielowymiarowe. Niezbyt mi się jednak podoba jego podejście do tego zagadnienia. W Polsce było zaskakująco mało takich dysput. W moim przekonaniu na owo miano zasłużyły chyba tylko dyskusja w sprawie Jedwabnego i dyskusja w sprawie lustracji (będąca faktycznie tyleż dyskusją o historii, ile wyrazem współczesnej walki politycznej). Wbrew autorowi prawie nie było tu dyskusji o komunizmie (chyba że uznać za taką właśnie polemikę w sprawie lustracji), a dyskusja o „polityce historycznej” objęła jedynie wąską grupę ludzi.

Autor nie zauważa pewnych funkcji myślenia o historii, w których sama historia niekoniecznie jest najważniejsza. Odwołania do historii bywają wyróżniającym znakiem grupy. Historia jest pewnym alfabetem w wypowiedziach, a konflikt o nią bywa konfliktem zastępczym. Zróżnicowanie odnoszenia się do zbrodni jedwabieńskiej nie było wyrazem „jedynie” zróżnicowanego odniesienia się do historii. Było

wynikiem różnicy poglądów w znacznie szerszym zakresie. Było wyrazem konfliktu, w którym zbrodnia stanowiła znak alfabetu. Nawiasem mówiąc, prezydent Kwaśniewski, dokonując aktu ekspiacyjnego, uczynił pewną koncesję — moim zdaniem, rozsądną — na rzecz inaczej myślących. Nie powiedział mianowicie, że przeprasza w imieniu Polski i Polaków, ale użył wyrażenia: „Przepraszam w imieniu swoim i tych Polaków, których sumienie jest poruszone tą zbrodnią...” (s. 142).

Autor słabo zauważa, że myślenie o historii jest uwikłane zarówno w politykę, jak i w znacznie szerszy światopogląd. Wbrew niemu wciąż uważam, że wylansowanie „polityki historycznej” przez PiS było działaniem politycznym, schlebieniem narodowi i podkreśleniem wagi myślenia narodowego, obliczonym na uzyskanie sukcesu wyborczego. Wynikało jednak także po prostu ze światopoglądu elity PiS-owskiej. Część tych ludzi wciąż musi walczyć. Część owego środowiska nie zauważyła, że wojna się skończyła — jak niektórzy żołnierze japońscy w azjatyckich dżunglach. Ci ludzie nie mogą też zrozumieć, że rola historii musi się zmniejszyć, skoro przestała być instrumentem walki — ponieważ walka w jej dawnym wymiarze się skończyła. Ludzie, o których mowa, są nieufni wobec sąsiadów, ożywiają więc historię jako instrument układania stosunków między narodami, wygodny o tyle, o ile bezpieczniejszy od rozstawiania wojsk. Część tego środowiska kładzie nacisk na historię, nazwijmy to tak, patriotycznie instrumentalną, jako rzekomo jedynie prawdziwą.

W położeniu nacisku przez jednych na Muzeum Powstania Warszawskiego i jego przesłanie, a przez drugich na lansowanie Muzeum II Wojny w jego dzisiejszej koncepcji odzwierciedlają się nie tyle różnice poglądów na historię, ile bardzo głębokie różnice światopoglądowe oraz różnice w publicznej i zawodowej kwestii, jak należy patrzeć na dzieje i czego w nich szukać. Niezależnie od tego budowa tych dwóch muzeów (i trzeciego, Historii Polski, które dziś niezbyt wiadomo, czym ma być) jest wyrazem rozgrywki politycznej.

Autor ma częściowo rację, gdy mówi, że rozpoczęcie otwierania się opinii na tematy-

kę żydowską jeszcze przed przełomem roku 1989 sugeruje, iż ten aspekt pluralizacji wynikał z tendencji światowych. Tak było, ale jednak nie do końca tak. Był w tym także czynnik czysto polityczny ze strony ówczesnych władz, które, walcząc o lepsze notowania w świecie, chciały zatrzeć wrazenie roku 1968. Chcąc też pożytek, głęboko wierzyły, że to Żydzi mają na świecie pieniądze. Naciskając na sprawy szersze niż bieżąca polityka, autor nie zastanawia się jednak — ku mojemu zdziwieniu — nad znaczeniem odniesienia Jana Pawła II do sprawy żydowskiej dla widzenia tego fragmentu historii w Polsce. Myślę, że wizyty papieża w rzymskiej synagodze, pod Ścianą Płaczu, w Auschwitz i przed pomnikiem Bohaterów Getta miały jakieś znaczenie dla myślenia o sprawie żydowskiej w Polsce, nieprawdaż?

Ma rację autor, gdy zwraca uwagę, że w społeczeństwach demokratycznych pamięć jest zróżnicowana. Dlaczego jednak nie dostrzeżono, iż w Polsce wciąż występuje silne pragnienie jednej historii, tej, jak się ją określa, prawdziwej? Sprawa jest znacznie szersza niż zagadnienie historii. Jest bliska wciąż często wyrażanemu przez ludzi zdziwieniu i krytyce, że ten sam towar kosztuje odmiennie w różnych sklepach. Podobna postawa w tak różnorodnych sprawach jest zjawiskiem równie prawdziwym, jak powołana przez autora, uwarunkowana rzeczywistością socjalistyczną, niechęć do jednolitej wizji historii, lansowanej przez władze. Czy autor jest zresztą pewien, że w socjalizmie była to niechęć do wizji jako jednolitej i lansowanej przez władze? Podejrzewam, że była to niechęć jedynie do ówczesnej wizji, lansowanej przez tamte władze. Moje wrażenie jest takie, że wielu ludzi wciąż chętnie zaakceptuje wizję jedną i lansowaną przez władze — byle to była ta „prawdziwa” wizja (czyli zgodna z ich własną) oraz byle rządziły pożądaną władze.

Autor nie zastanawia się nad przyczynami najpierw zmniejszenia się, a obecnie wzrostu tego, co nazywa regionalizacją pamięci. Znów mogę powiedzieć, że nie był to i nie jest wynik jedynie zjawisk zachodzących w obrębie myślenia o historii. Tłem dla tych zjawisk było najpierw komunistyczne ujednoczenie kraju, a obecnie generalny wzrost myślenia w kategoriach regio-

nu, umacnianie się społeczności lokalnych, rozwój samorządności lokalnej, znaczny stopień lokalnej autonomii finansowej, a w tym zaistnienie potrzeby generowania pieniędzy między innymi poprzez wykorzystywanie śladów lokalnej przeszłości do przyciągania turystów i do podkreślania łączności ludzi z tego miejsca z całym narodem.

Autor nie zastanawia się nad szerszymi uwarunkowaniami myślenia o mniejszościach narodowych w dziejach Polski. Tymczasem myślenie o dziejach mniejszości żydowskiej było i jest z jednej strony bardzo uwikłane w bieżącą politykę, a z drugiej w samą istotę myślenia o Polsce i sprawy jeszcze szersze. Byłoby warto zadać też pytanie, dlaczego, będąc dumni z Rzeczypospolitej wielu narodów, w praktyce niezbyt dostrzegamy dzieje grup etnicznych innych niż grupa polska.

Autor nie widzi specyfiki Ziemi Zachodnich i Północnych w podejściu ludzi do historii i myśleniu o niej. Nie doczytałem się też (chyba że przeoczyłem) analizy ewolucji prowadzącej od nazywania ich „Odzyskanymi” do dzisiejszego dostrzegania ich pluralizmu kulturowego w dziejach. Na owych ziemiach dobrze zresztą widać niekonsekwencje oraz, także, ewolucję polityki komunistycznej w kwestii historii. Pomnik Fredry ze Lwowa i Panoramę Raclawicką sprowadzono, ale przez lata nie udostępniano publiczności. Pomnika zamordowanych profesorów lwowskich nie pozwalano zbudować we Wrocławiu. Na tych terenach przestudowanie odniesień do historii i kwestii funkcjonowania pamięci o niej byłoby wyjątkowo ważne.

Może te wszystkie sygnalizowane przez mnie sprawy pozostają poza polem badawczym autora. Nawet jeśli z zastrzeżeniami, to mógłbym przyjąć takie tłumaczenie w wypadku postulowanego przeze mnie szukania genezy obserwowanej przezeń sytuacji. Można w końcu stanąć na stanowisku, że interesuje nas, czy pada deszcz, czy świeci Słońce, a nie wszystkie przyczyny danej sytuacji i wzajemna gra czynników prowadzących do niej. Niektóre z sygnalizowanych zjawisk są jednak wyrazami myślenia o historii, które — choć pozatekstwowe i ewentualnie jedynie pośrednio znajdujące wyraz w son-

dażach opinii — moim zdaniem, powinny interesować autora.

Niedawno uczestniczyłem w scenie jakby paralelnej do słów, które teraz wypowiadam (spisuję). Uczestniczyłem mianowicie w zebraniu, podczas którego politolodzy „osądzali” pracę habilitacyjną historyka. Przykro było patrzeć na tego człowieka — rozmowa bowiem do prawdy przypominała dialog PT Gęsi z PT Prosięciem. W końcu nie wytrzymałem i poprosiłem PT Radę, by jednak pozwoliła nam (historykom) żyć. Nasze kontakty powinny prowadzić do wzajemnego zbliżenia, ale to ma być zbliżenie żywych specjalistów, a nie lu-

dzi zadręczonych przez kolegów z innej branży. Stwierdzam więc, że celem moich uwag nie jest męczenie autora. Niech nikt nie prosi teraz mnie, abym pozwolił żyć kulturoznawcom. Podkreślam, co wspomniałem na początku, że jednym z uczuć mnie ożywiających jest zazdrość, że sam nie umiem zrobić analizy w takiej formie, jak uczynił to Bartosz Korzeniewski. Przesłane mi prace tego autora, z recenzowaną na czele, zachowam na półce mimo jej zatłoczenia. W niniejszej recenzji sygnalizuję jedynie, że jako przedstawiciel innej specjalizacji inaczej podchodzę do analizowanych spraw.